

Roman Witold Ingarden

Dziennik osobisty (wybór)

opracowanie tekstu: Radosław Kuliniak, Mariusz Pandura

Dziennik osobisty (selection), editing: Radosław Kuliniak, Mariusz Pandura

4 lutego 1909 roku

Postanowiłem pisać pamiętnik. Dlaczego to czynię? Dokładnie nie wiem, chociaż mam w duszy jakieś niejasne przekonanie, że wrażenia zewnętrzne mogące mieć wpływ na kształtowanie się duszy danej jednostki powinny być skrzętnie notowane, ponieważ dają obraz rozwoju danego indywiduum. Nadto pamiętnik to dla osobnika piszącego go niejako rachunek sumienia – to, że się tak wyrażę po szkolnemu, świadectwo za pewien przeciąg czasu, to odzwierciedlenie duszy piszącego. Z tych to powodów zdecydowałem się pisać pamiętnik, do których się przyłącza jeszcze jakieś dziwne przekonanie o potrzebie pisania, jakiś nieznanymi rozkaz woli, nakłaniający do notowania owych wrażeń.

Ponieważ wszyscy piszący pamiętniki zaczynają od swego rodowodu, więc i ja to uczynię.

Jestem Roman Ingarden, uczeń szóstej klasy gimnazjalnej. Jutro kończę lat szesnaście życia. Urodziłem się w Krakowie, tam chodziłem do pierwszej i drugiej klasy normalnej, następnie wraz z rodziną przenieśliśmy się do Lwowa, gdzie uczęszczałem do szkół ludowych, a obecnie do gimnazjum III, będąc, nawiasem mówiąc, uczniem celującym. Ojciec mój, Roman, zajmuje wysokie stanowisko w hierarchii urzędniczej, bo jest szefem departamentu budowy dróg wodnych dla Galicji, radcą dworu *etc. etc.* Matka moja, Witosława z Radwańskich, córka dawnych senatorów Rzeczypospolitej Polskiej i Krakowskiej, bardzo dobra i pracowita, troskliwa i lękliwa matka. Ma tylko ten feler (mówiąc po galicyjsku), że trochę za dużo mówi. Nadto w skład rodziny wchodzi jeszcze siostra Adzia, nie piękna, nie brzydka, ale taka sobie, jak Adzia. Nadto mam jeszcze cały komplet cioć i wujów, których tu nie wymieniam. Co do mnie jeszcze mogę dodać, że jestem – według matki – naturą złośliwą i gburowatą o wybitnych

zdolnościach. Według zaś moich „belfrów” naturą uczuciową, gwałtowną, namiętną, obdarzoną pewnym polotem artystycznym. Jak jest, sam nie wiem. Od kolegów jestem bardzo lubianym, mam wszelkie możliwe godności szkolne i jestem tak zwanym przez Kaweckiego *lumenem* klasy. W życiu studenckim biorę żywy udział, tak w duchowym przez należenie do wszelkiego rodzaju kółek artystycznych, naukowych *etc.*, jak i w życiu poświęconym ciału, to jest sportom. Gram w *football* (na bramie), biegam, jeżdżę na lodzie, saneczkach, uprawiam lekką atletykę, należąc do klubu sportowego Pogoń. Nadto jeszcze mogę dodać, że napisałem cały stek referatów, a także parę utworów poetycznych.

Lecz dość z tym odbijaniem własnej sylwetki.

Nie wiem, dlaczego przychodzi mi na myśl ciągle powieść Sienkiewicza pod napisem *Bez dogmatu*. Zdaje mi się, że jestem jej bohaterem i zaczynam opisywać przeszłe swoje dzieje, a prócz tego zaś zdaje mi się, że jestem jakimś wielkim duchem – artystą, który, ażeby ułatwić historykom napisanie swojej biografii, zapisuje wszystkie wrażenia. I chwilami zdaje mi się, że to jest prawda. Lecz później przychodzi refleksja i powiadam sobie, że to tak zwana mania wielkości, która opanowuje prawie wszystkich młodzieńców w moim wieku...

Lecz przerywam już dziś tę pisaninę, bo już wpół do dwunastej, a rano o siódmej trzeba wstać.

5 lutego

Czytając dziś to, com sam wczoraj napisał, przychodzi mi ciągle do głowy myśl, że pamiętnika tego nie piszę dla siebie, lecz dla jakichś przyszłych czytelników, którzy kiedyś po mojej śmierci będą te karty przeglądać, o ile one przedtem nie ulegną płomieniom. Jakoś ciągle mam przed sobą obraz schylonej głowy nad tą bazgraniną – głowy, która z zapisanych tu zdań chce wnioskować, co się [w] mojej duszy w danej chwili działo. I gdy sobie pomyślę, że wówczas już nic ze mnie nie będzie, jakoś mi się głupio robi. Pragnąłbym, aby coś po mnie pozostało, co by potomności świadczyło, że niegdyś istniał jakiś pan Ingarden, który to a to zdziałał. I pragnąłbym, aby to coś postawiło mnie na jakimś piedestale, aby potomni schylali głowę przede mną.

Sumując to wszystko, mam pragnienie sławy, wynikające może z przekonania, że nie powinno się wszystko kończyć ze śmiercią, że powinien pozostać jakiś ślad po mnie. Dlatego też może zacząłem pisać ten pamiętnik, dlatego napisałem parę utworów poetycznych i dlatego, jeżeli mi Bóg choć trochę użyczy natchnienia, mam zamiar napisać coś wielkiego, coś potężnego, co wstrząsnęłoby całym światem i rzuciło na kolana całe tłumy ludzi, co pozostałoby jako pomnik trwalszy od spizowych i marmurowych kolumn!

Pisząc to, przypomniało mi się, że właśnie dzisiaj w szkole koledzy znaleźli w moich książkach część utworu *Drogi zmartwychwstania*. Odczytali, zrobili mi owację i nadali miano poety. Po szkole szedłem do domu z Chmielińskim, gdy

wtem spostrzegam naprzeciw jego ojca. Kłaniam się więc mu i żegnam z Jankiem, gdy nagle ten mówi do ojca: „To poeta!” Usłyszawszy to, pan Chmieliński zaczął mówić, że Janek opowiadał mu już o mnie, pytał się, co to był za wiersz. I nareszcie, żegnając, tak rzekł: „Pisać! Pisać, jak się ma talent!” Ja na to nic nie odpowiedziałem, lecz, pożegnawszy się, poszedłem swoją drogą. Zdanie pana Chmielińskiego jest dla mnie zachętą do pracy, lecz zarazem i wielkim pytaniem. Albowiem mówił on: „Pisać, jak się ma talent!”

Otóż ja nie wiem, czy ja go mam. Wprawdzie chwilami zdaje mi się że tak, lecz później przychodzi refleksja i mówię sobie: „Nie durz sobie głowy żadnym talentem poetyckim, bo go nie masz. Chcesz być poetą, a jesteś nędznym wierszokletą i chorujesz na manię wielkości”. I tak ciągle raz jedna myśl przeważa, raz druga i źle mi jest z tą ciągłą walką. Na dobitkę wysłałem przed paru dniami dwa poematy do redakcji „Słowa Polskiego” z prośbą o ocenę i, w razie jakiejś wartości moich utworów, o wydrukowanie ich. I nie mam od tygodnia odpowiedzi. I zdaje mi się, że utwory te są tak złe, że nawet odpowiedzi nie warte.

I nie wiem, co robić. Bo gdybym wiedział, że mam choć trochę talentu poetyckiego, to bym się wziął do pracy nad sobą i może bym dobył z siebie iskrę ducha, albo w przeciwnym razie rzuciłbym wszystko do kosza i zajął się czymś innym.

I gdy to piszę, czuję jakiś żal. Czuję, że bym się może tak prędko nie wyrzekł myśli pracowania na niwie poetyckiej. I oto mógłby kto powiedzieć: „Jak on daleko już zaszedł w swej manii zostania poetą!”

I tak się męczę i rzucam
 Nie wiem, co począć, jaką pójść drogą:
 czy na kanwie życia snuć mereżki
 i na sztuki strome wstąpić ścieżki,
 które do sławy zawieść mnie mogą, –
 czy też dać pokój muzom i pieśni: –
 czekać aż życie całe się prześni
 i minie jako mara senna

I oto znowu może ktoś powie: „Ot, idiota! Znow się dał porwać swej manii i sklecił parę kiepskich wierszów”! A niech tam sobie mówi, co chce. A ja przecież w sobie coś wyższego teraz czuję, więc przerywam na dziś tę bazgraninę i dam się unieść tej fali ducha!

W pół godziny później

I zacząłem tworzyć jakiś wiersz, gdy wtem przyszła matka z siostrą i od razu strąciły mnie z wyżyn myśli na ten padół płaczu. Oto zaczęła się zaraz swarliwa, krzykliwa sprawa z kucharką o niespełniane przez nią obowiązki, zaczęły

się nawoływania i krzyki, narzekania i żale. A w mej duszy powstała prawie rozpacz i złość na wszystko i na wszystkich. I miałem w duszy jakiś ogromny tragizm, jakiś żal za utraconą bezpowrotnie chwilą natchnienia, względnie większego napięcia ducha. I teraz znowu, gdy owa chwila minęła, zdaje mi się, że ją wywołałem tylko za pomocą tak zwanej autosugestii, chociaż wyżej napisaną zwrotkę prawie bezwiednie napisałem. I nie zaznałem dzisiaj ukojenia, nie otrzymałem odpowiedzi. I o to znowu:

...tak na rozstaju tu stoję
i drogę mą wybrać się boję,
bo nie wiem czy-li w sobie mam
coś z iskry ducha, aby tam
pospieszyć w krainę cudu,
w prastary ten poezji chram!!

7 lutego, niedziela

Cały dzisiejszy dzień spędziłem na lodzie. Byłem rano i po południu. Po południu miał się pokazywać Rolin, „mistrz” z Paryża. Ten Rolin został zaangażowany przez Lwowskie Towarzystwo Łyżwiarckie na trenera w jeździe s[z]tucznej. Otóż dziś miał on pokazać, co sam umie. Było to dość wielką sensacją, gdyż wszyscy spodziewali się zobaczyć coś nadzwyczajnego. Prasa zrobiła hukczek, pisząc panegiryki na cześć „mistrza”; pobierano specjalne wstępy na stawy *etc.*... Tymczasem wszystkich spotkało najsroźsze rozczarowanie. Bo pan Rolin po kilku łatwych ćwiczeniach, a trwających razem najwyżej dziesięć minut, uklonił się [z] wielką dystynkcją i zeszedł z lodu. Rozumie się, rozpoczęły się najrozmaitsze drwiny ze strony widzów i wszystkie podobnym występom towarzyszące okoliczności. Mnie zaś nasunęły się smutne refleksje.

I bolałem, że pierwszy lepszy Francuz śmie kpić sobie z polskiego społeczeństwa i wyzyskiwać, że tak mało o Polakach wiadomo w Europie, że nie wiedzą nawet, na jakim stopniu stoją u nas sporty!

Lecz dość już o sportach.

Po ślizgawce poszedłem do domu i czytałem książkę Reymonta pod napisem *Sprawiedliwie*. Dzieł Reymonta czytałem już dość dużo, lecz nigdzie jeszcze nie zauważyłem tego pesymizmu graniczącego z rozpaczą, co w *Sprawiedliwie*. Nie wiem, kiedy napisał Reymont tę powieść, lecz zdaje mi się, że musiał ją stworzyć po jakimś nieszczęściu, jakie go spotkało, w chwilach gdy go rozpacz ogarniała. Bo, o ile wiem, Reymont pesymistą nie jest, więc nie mogę przypuszczać, aby bez powodu mogły się zmienić czyjeś poglądy.

Powieść ta jest właściwie – jak to sam autor zaznaczył – szkicem, a jednak pomimo tego nosi na sobie wszystkie piętna pióra Reymonta. Postać bohatera i innych głównych osób jest z właściwą Reymontowi zręcznością kilkoma

ostrymi, ale dobitno-potężnymi rzutami zaznaczona. Charaktery te nie są wykończone, nie są wyczelowane, a pomimo to jest w nich wszystko to, co charakteryzuje namiętno-demoniczną naturę chłopca polskiego. Nadto jest w powieści tej nowy pierwiastek, którego dotąd u Reymonta nie znałem, a to jest fatum ciężące nad całym utworem. Jest coś, co zmusza gwałtowną moźe i mściwą, ale zawsze prawą duszę przemienić w krwawego demona, który zemścić się musi i w zemście i zbrodni tonie. Jest coś, co zmusza dobrą i pocziwą duszę chłopki do ciągłych cierpień, do ciągłych nieszczęść i walk wewnętrznych. Lecz poza tym fatum wyszła wieś polska prawie tak samo potężną i naturalną jak w *Chłopach*. *Sprawiedliwie* to prawdopodobnie pierwszy pomysł przedstawienia wsi polskiej u Reymonta, to jakby szkic do *Chłopów*.

Nadto jeszcze czytałem Rodziewiczowej nowele pod napisem *Rupiecie*. W książce tej jest parę rzeczy już przedtem drukowanych jak *Triumfator*, *Ciotka*, *Tak zwani głupi* i inne. Inne zaś nowelki nie wychodzą poza granice zmanierowanego talentu Rodziewiczówny. I znowu powtarza się po raz moźe x-ty, po raz x-ty wygłasza hasła i teorie, które wypowiedziała już w latach osiemdziesiątych. Jest jednak jedna nowelka, która mówi coś nowego. Tytułu jej już nie pamiętam. Lecz mniejsza o tytuł, chodzi o ideę. Otóż [w] nowelce tej wypowiada Rodziewiczówna zdanie, że reformator kaźdy zginąć musi z powodu głupoty tłumu. A więc tu widzimy jakaś zmianę myśli. Dotychczas zawsze słyszeliśmy, że całe szczęście polega na porwaniu za sobą tłumu, na zahipnotyzowaniu swoją indywidualnością ogromu ludu, że ten lud jest szczęściem, że jest absolutem szczęścia. A teraz słyszymy, że to głupi szalony tłum, który morduje bezmyślnie swoich dobroczyńców. Dotychczas słyszeliśmy, że tłum da się porwać, że jest wdzięczny dla swego przywódcy byleby ten dla niego dobrze czynił. A teraz słyszymy zaprzeczenie tego. I właśnie z powodu tej zmiany myśli zwróciłem na książkę tę pamiętniku uwagę i poświęciłem jej parę zdań.

13 lutego, sobota

Tyle dni nie pisałem, a złożyły się na to różne powody. Najpierw moźe nie ułożyłem się jeszcze do codziennego notowania wrażeń i z tego powodu mam chwilę, że się prawie zmuszam do pisania, do czego się jeszcze przyczynia i to, że pi-szę zwykle wieczorem, kiedy już cisza zalega dom, co jednak ma tę złą stronę, że już wówczas jestem zmęczony i często nie mogę przewyciężyć ogarniającego mnie snu. Nadto cały ubiegły tydzień miałem dość gorący, gdyż urządzaliśmy wczoraj wieczorek trzech wieszczów, przy czym ja jako komitetowy miałem dość zajęcia! Lecz [o] to mniejsza. Głównym powodem niepisania przez tydzień było, szczerze powiem, zniechęcenie do pisania w ogóle. Oto na drugi dzień po radosnych chwilach, kiedy myślałem, że mam choć odrobinę talentu, nastąpiła reakcja. Zaraz w szkole oświadczył mi Chmieliński, że mój wiersz jest nic nie wart, a ja zaraz poznałem, że to zdanie jego ojca, bo przedtem Janek

chwalił mój utwór. Kiedy więc tak poważna osoba mówi, trzeba wierzyć. Toteż powiedziałem sobie: „Rzuć wszystko do kosza i daj temu pokój”. Nadto z redakcji nie otrzymałem wcale odpowiedzi, a więc jestem pewny, że nawet na mój list odpowiadać nie warto. Postanowiłem więc przestać pisać! Jakże jednak muszę mieć w sobie to przyzwyczajenie, kiedy wczoraj po kilkudniowej walce postanowiłem kroku tego zaniechać. Oto wróciwszy z wieczorku w podnieconym nieco nastroju, wyjąłem moje wiersze z szuflady i zacząłem poprawiać. I teraz dopiero zobaczyłem i błędów rytmicznych, i kwiatków stylistycznych. A zobaczywszy je powiedziałem sobie: „Kiedy swe błędy widzisz, to musisz mieć przecie choć trochę talentu. A więc popracuj tylko trochę, przysiądź łańdów, popraw błędy i stwórz coś nowego”. I tak uczyniłem! Nad wierszem pod napisem *Prolog* męczyłem się wczoraj i dziś jest już teraz całkiem inny, a nadto wyrwała mi się z duszy prośba do muzy o talent i natchnienie! O proszę Cię, Wielki Boże, aby ta prośba się spełniła!

15 lutego 1909 roku, poniedziałek

Dziś u nas przy kolacji szeroko mówiono o śmierci ze śmiechem, rozmyślając, kiedy to człowiek pójdzie do robaków. Przedtem jeszcze czytałem z powieści Tetmajera pod napisem *Zatrącenie* rozdział opisujący śmierć Jerzego. Wszystko to razem złożyło się na to, że ogarnęły mną czarne myśli. Bo to się tak zwykle mówi: „Ot, każdy musi umrzeć”. Lecz nie myśli się wtenczas o sobie. Zdaje się, że się jest wyjętym spod ogólnego prawa, że się jest obojętnym świadkiem strasznego dramatu. Lecz gdy się pomyśli, że przyjdzie kiedyś chwila, w której się stanie coś, o czym prawie nic nie wiemy, a co z żywego człowieka robi garść prochu, to wtenczas robi się człowiekowi strasznie. I staje wówczas przed oczyma owo straszne pytanie: „Dlaczego”? Dlaczego musi się umrzeć, dlaczego z żywego człowieka zostaje tylko bezduszna szmata. I pytanie to wżera się w każdy zakątek mózgu ze straszną jakoś bezwzględnością. A gdy się nie może na nie znaleźć odpowiedzi, przychodzi inne pytanie: „Na co, po co to wszystko, co czynimy w naszym całym życiu? Na co ja się uczę? Na co uprawiam sporty? Na co myślę? Po co się stwarza kulturę? Na co ja piszę? Na co w ogóle żyję?” Na co – i wiecznie strasznie brzmiące „na co”? I na to pytanie nie ma odpowiedzi. A potem przychodzi inne: „Co jest właściwie tam po drugiej stronie?” Wielu mówi, że nic! Lecz to byłoby straszne, żeby całe życie człowieka kończyło się na kilkudziesięciu latach męki i walki, aby po latach pracy i walki dojść do kresu i nagle unicestwić się. To by było tak straszne, że rozum mój nie może po prostu wyobrazić sobie całej okropności tego. Gdyby tak było, to ludzie poszaleliby na ziemi z rozpacz. Ale tak być nie może. Przecież Kościół katolicki uczy nas co innego i każe nam w przyszłe życie wierzyć niezachwianie. I to zdaje się jest jedyna na to rada: wierzyć, ślepo zaufać, że to prawda i nie dopuścić do siebie nawet cienia wątpliwości. I ja w to wierzę całą siłą mej

duszy, a jednak, gdy sobie o tym pomyślę, wtenczas ogarnia mnie jakaś straszna trwoga i rozpacz! A jednak nie ma żadnej innej rady, tylko wierzyć i wierzyć!

Ale po co ja to wszystko piszę? Przecież już dawno o tym wszystkim wiem i wiedzą od dawna inni. Przecież i tak z tych kartek będą kiedyś popioły i szkoda tylko czasu na tę bazgranię. A jednak coś mi się na duszy lżej zrobiło, gdym się wypisał. Czytałem dziś w *Zatraceniu*, że gdy wrażenie jest za wielkie, gdy jest obawa o fundamenty duszy, to wtenczas wypisanie się na lub w ogóle wydanie swych myśli na zewnątrz jest jak gdyby kłapą bezpieczeństwa, aby ten „garnek” – duch nie potrzaskał [się]. I to prawda. Ot, i ja teraz żem się wypisał, mam jakiś spokojniejszy ton w mej duszy, coś się załagodziło i już mi nie jest tak strasznie!

Ale trzeba już iść spać.